



OSTRZESZOWSKA KULTURA

HISTORIA • SAMORZĄD

redaktor naczelny:
Wiesław Kaczmarek



wydawca:
Ostrzeszowskie Centrum Kultury



str.
13

Krąg rodzinny
Antoniego
Serbeńskiego

ŚLADAMI MISTRZÓW.
ANTONI BAJERLEIN

str.
3



Antoni Bajerlein / PAM / Ostrzeszów / lata 70. XX w.

str.
8

ROZMOWA
Z ADAMEM FULARĄ



str.
18

WSZYSTKO GRA?

ŚWIĘTO PATRONA ZS NR 1 W OSTRZESZOWIE

8 stycznia 2020 r. odbyły się obchody 101. rocznicy wybuchu Powstania Wielkopolskiego oraz Dzień Patrona ZS nr1. Uroczystości rozpoczęły się o godz. 11.00 przed obeliskiem upamiętniającym powstańców, a o 11.30 w auli szkolnej miała miejsce akademie, w której przypomniano historię Powstania Wielkopolskiego i zaakcentowano znaczenie tego wydarzenia dla miasta i kraju. Od rana odbywał się konkurs wiedzy i bieg ku czci Powstania Wielkopolskiego. Zwycięzcom wręczono nagrody po okolicznościowej części artystycznej. Była to też okazja do nagrodzenia laureatów innych konkursów: plastycznych, fotograficznych i gastronomicznych.

Dla społeczności szkolnej ZS nr 1 Dzień Patrona jest jednym z najważniejszych dni w roku. Na uroczystości zaproszono przedstawicieli rodzin powstańców: Stanisława Stawskiego, Władysława Grafa, Krystynę Kozłowską, Piotra Wodniakowskiego, Lecha Gajdzika, Piotra Prusinkiewicza, Jana Marka Cieplika, Zbigniewa Kajzera, Stanisława Bućko, Bolesława Grobelnego.



NIE ŻYJE WŁADYSŁAW GRAF

Człowiek najwyższej próby, mądry, szlachetny i dobry, ikona i skarbnica wiedzy historycznej Ostrzeszowa.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie.

„Miej serce i patrzaj w serce”

Już jest!

Ogromne serce, do którego mieszkańcy Ostrzeszowa mogą już wrzucać plastikowe nakrętki, stało właśnie przy Ostrzeszowskim Centrum Kultury.



Uważam, że to podwójna korzyść, bo przecież z jednej strony segregujemy śmieci, co jest ważne w kontekście ekologii, z drugiej to także niezwykle pożyteczne: plastikowe nakrętki, można zbierać na konkretny cel - na przykład dla potrzebującego dziecka.

Jestem inicjatorem tej akcji i fundatorem serca, ale łatwo nie było. Powiem Wam szczerze, że dziś czuję się trochę jak Pan Hilary. Długo szukałem wykonawcy mojego zwariowanego projektu, ale okazuje się, że szukałem nie tam, gdzie trzeba. Pomocną dłoń podał mi sąsiad. W końcu na ludzi z Pustkowie zawsze można liczyć.

Uzyskałem zgodę na montaż instalacji zarówno dyrektora OCK-Artura Derewieckiego, jak i burmistrza Patryka Jędrowiaka - dziękuję za to serdecznie. Zachęcam do zbierania nakrętek i do pozytywnego nakręcenia się tą pozytywną akcją.

(M.Gagatek)





Antoni Bajerlein / Kępno / lata 60. XX w. / fot. St. Haniszewski, M. Kuropatwińska

ŚLADAMI MISTRZÓW. Spotkanie edukacyjno-plenerowe Ostrzeszów, 20–21 marca 2020 r.

ANTONI BAJERLEIN (1935-1991)

Urodził się 16 stycznia 1935 roku w Ostrzeszowie. W okresie okupacji niemieckiej mieszkał w Podzamczu i w Ostrzeszowie, skąd w 1944 roku wraz z matką został wywieziony na przymusowe roboty do Bawarii. Po zakończeniu II wojny osiedlił się w Kępnie, gdzie razem z żoną Krystyną i synem Zbigniewem mieszkał do końca życia. Bardzo wczesnie rozpoczął pracę zawodową, kolejno w Zakładzie Mleczarskim w Kępnie i w Ostrzeszowie, Gminnej Spółdzielni w Wieruszowie, Zasadniczej Szkole Zawodowej w Kępnie i Ostrowie Wielkopolskim, Zakładzie Ceramiki Budowlanej – Budy Ostrzeszów i Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Ostrzeszowie. Ukończył Państwową Szkołę Ogólnokształcącą stopnia licealnego w Kępnie i Wydział Biologii



Antoni Bajerlein / Kępno / Ostrzeszów / lata 70. XX w.

i Nauk o Ziemi na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu (1959 -1965) uzyskując dyplom magistra w zakresie geografii ekonomicznej. Swoje marzenia o malowaniu i rysowaniu zrealizował w fotografii, kupując w młodości używany aparat fotograficzny. Poszerzając swoją wiedzę o fotografii, szukał tematów w pięknie przyrody i egzystencji człowieka, a zainteresowanie sztuką skłoniło do przetwarzania zdjęć w tonorozdzielczych technikach szlachetnych, graficacji, reliefie, izohelii i konturowaniu (połączenie reliefu i izohelii). Pracując w szkolnictwie i w przemyśle, cały swój wolny czas przeznaczył na edukację młodych fotografów, najpierw w kole fotograficznym przy Zasadniczej Szkole Zawodowej nr 1 w Kępnie, a później od roku 1967 w Klubie Fotograficznym KOMA w Wieruszowskim Domu Kultury i od roku 1969 w Klubie Fotograficznym KADR w Ostrzeszowskim Domu Kultury. W latach 1962-1966 swoje zdjęcia i artykuły o fotografii amatorskiej publikował w „Głosie Wielkopolskim”, „Południowej Wielkopolsce” i innych czasopismach. Zmarł po kilkuletniej chorobie w 1991 roku.

Zarówno on sam, jak i jego wychowankowie wystawiali swoje prace na prestiżowych wystawach i zdobyli wiele nagród na ważnych konkursach w Polsce i za granicą.

Największym jednak sukcesem dydaktycznym Antoniego Bajerleina są wspomnienia znanych dzisiaj fotografów, którzy swoją pasję fotografowania połączyli w klubowych ciemniach Kępna, Wieruszowa i Ostrzeszowa.

Opracował Stanisław Kulawiak na podstawie:

- Grzegorz Kosmala „Antoni Bajerlein – fotografik, we wspomnieniach przyjaciół i wychowanków”, ASP, Poznań 1998 (praca dyplomowa),
- Krzysztof Szymoniak „Autentyczni i światłoczuli...”, Ostrzeszowska Kronika Regionalna nr VII, Ostrzeszów 2014,
- Archiwa prywatne.

Szczegóły spotkania na stronie: www.wieza1916.pl lub na Facebooku.



Antoni Bajerlein / Agnieszka / kontrowersje / 1983

	<p>OSTRZESZOWSKI DOM KULTURY im. Antoniego Serbskiego Klub Fotograficzny » K A D R « Ul. Boh. Stalingradu 9 A Tel. 25-76 63-500 OSTRZESZÓW</p>
	<p>WIERUSZOWSKI DOM KULTURY Klub Fotograficzny „ K O M A ” Rynek 8 Tel. 180 98-400 WIERUSZÓW</p>



Antoni Bajerlein / Już tłoczno / białym / Kępno 1981



Antoni Bajerlein / Parafianowski tłum / graficacja / 1981



Antoni Bajerlein / Kępno / 1981

ORSZAK 2020

Orszak Trzech Króli w Ostrzeszowie przeszedł ulicami miasta już szósty raz. Pierwszy odbył się w roku 2015. Przeszliśmy wtedy tylko kilkoma ulicami na terenie parafii św. Jadwigi Królowej.



W tym roku w przygotowanie Orszaku włączyło się ponad 50 osób, licząc aktorów i tych, którzy działali na zapleczu. Pierwsze spotkanie orszakowe, na którym zastanawialiśmy się, w jaki sposób zabrać się za organizację i co pokazać mieszkańcom, mieliśmy na początku listopada. Każdego roku działamy we współpracy z Fundacją Orszak Trzech Króli, która ofiarowała nam sztandary, przekazuje naklejki, korony, śpiewniki. Także w sklepie Fundacji dokonujemy zakupów brakujących śpiewników czy koron. Fundacja udostępnia nam bazę wiedzy, gdzie możemy znaleźć scenariusz jasełek, który i tak przerabiamy ponieważ musimy go dostosować do warunków naszego miasta. Pierwszy Orszak przygotowała parafia św. Jadwigi Królowej na czele z ks. Piotrem Kowalkiem i tak każdego roku działamy. Podpisując umowę z Fundacją, musieliśmy podać podmiot, który będzie odpowiedzialny za organizację i koordynatora ostrzeszowskiego, którym jestem ja.

Celem Orszaku jest przedstawienie jasełek ulicznych, ale przygotowanych przez dorosłych. W szkołach i przedszkolach dzieci odgrywają jasełka dla rodziców i dziadków, a w tym wypadku to dorośli robią coś dla dzieci. W tym roku natomiast pragniemy włączyć dzieci do wspólnej zabawy przez zaproszenie ich do walki z diabłami. Przy pomniku harcerskim zawsze odgrywamy walkę dobra ze złem - anioły walczą z diabłami. W tym roku uczestniczyły dzieci, ponieważ wpadliśmy na pomysł, że one zapewne też mają ochotę powal-



czyć, a nie mogą, więc teraz zaprosimy ich do wspólnej zabawy. W przygotowaniu Orszaku pomagają nam ludzie dobrej woli wymienieni w załączniku. Są to rodziny, małżeństwa, ale i organizacje. Pan Burmistrz zawsze organizuje spotkanie w urzędzie przedstawicieli straży, policji, straży miejskiej, by tam ustalić przebieg tego dnia. Pomagają nam harcerze z ZHR - rozdają naklejki, dzięki którym wiemy, ilu ludzi przyszło na Orszak, rozdają korony, śpiewniki, niosą sztandary.

Każdego roku staramy się coś dodać. W tym roku p. Genowefa Klimek uszyła nam kolorowe pelerynki, by ubrać tych, którzy będą towarzyszyć Królom. Sceny jasełek są podobne: powitanie Mędrców, zagroda, dwór Heroda, walka dobra ze złem, brama anielska, stajenka. Jednak w tym roku nie ma sceny w gospodzie, ale troszkę bardziej była rozbudowana scena z pasterzami przed stajenką. Sceny muszą być krótkie, ponieważ jest to styczeń, zimno i musimy pamiętać, że na orszak przychodzą dzieci. Najważniejsze dla nas jest to, by pokazać ludziom istotę Bożego Narodzenia, wyjaśnić, że nie chodzi tu o prezenty i dekorację, ale o przyjście na świat Zbawiciela, który pokonuje zło. Chodzi nam też o to, by ludzi wyciągnąć z domów, by wstali z przystawionych kanap i wyszli na ulice wspólnie pobawić się z mieszkańcami.

Agata Leszkiewicz





foto: W. Kaczmarek

**Podziękowania
dla ostrzeszowian!
6 stycznia 2020 r.
Orszak Trzech Króli
przeszedł
ulicami
Ostrzeszowa.**

**Hasło przewodnie brzmiało:
„Cuda, cuda, ogłaszają!”**

Znaleźliśmy się w gronie 872 miejscowości w kraju i 21 poza granicami. W Polsce był to 12. Orszak, a w naszej miejscowości przeszliśmy ulicami po raz szósty. Tak jak i w ubiegłych latach nie zabrakło tych, którzy wyruszyli za gwiazdą do stajenki, ale też ludzi dobrej woli, którzy to wydarzenie przygotowali. I właśnie w tym miejscu należy się im podziękowanie.

Dziękujemy Rodzicom za przyprowadzenie swoich pociec, bo to przecież wszystko dla nich.

Największe podziękowania należą się tym, którzy zegrali w ulicznych jasełkach. Są to: Święta Rodzina: Państwo Agnieszka i Łukasz Dukiewiczowie wraz z synkiem Tymoteuszem. Królowie:, ks. Andrzej Kmiecik, ks. Łukasz Olszewski, ks. Aleksander Piekielny Dwór Heroda: p. Jacek Owczarczak, p. Dorota Owczarczak, p. Katarzyna Treśka, p. Alina Dukiewicz, p. Aleksandra Tomaszewska, p. Renata Kulig, p. Ewa Hełka, p. Monika Falis Anioły: Siostry Nazaretanki oraz panie: Justyna Michalak, Aneta Świłoń, Katarzyna Skiba, Maria Widerska, Małgorzata Jurkiewicz – Małolepsza, Agata Leszkiewicz. Diabły: panowie Marcin Świłoń, Artur

Zaremski, Karol Zaremski, Michał Szmaj, Tomasz Daszczyk.

Pasterze: ks. Piotr Kowalek, ks. Leszek Szkopek, panowie Henryk Juszek, Adam Kulig, Leszek Falis, Sławomir Grepka Konferansjer: p. Ziemisław Szmaj. Nagłośnienie: p. Mirosław Kaźmierczak.

Dziękujemy za to, że chcieliście poświęcić swój czas i przygotować dla nas wspaniałe jasełka.

Na wdzięczność zasługują ci, którzy włączyli się w przygotowanie Orszaku Trzech Króli:

Urząd Miasta i Gminy Ostrzeszów. Młodzież z ZHR.

p. Mirosława Rzepecka i Ostrzeszowskie Centrum Kultury.

p. Genowefa Klimek, p. Ewa Ślāk, p. Marek

Dukiewicz, p. Szczepan Mieszala, p. Andrzej Manikowski, Karol Zaremski.

Biblioteka Publiczna. Policja. Straż Miejska. Państwowa Straż Pożarna.

Państwo Hełkowie z Baranowa, którzy ofiarowali nam słodczyce.

Restauracja Eldorado.

Kierownictwo restauracji Zacisze.

Orszakowi fotografowie:

p. Grzegorz Kosmala i Zbigniew Leszkiewicz.

Ostrzeszowskie parafie, a także wielu ludzi dobrej woli.

**Dziękujemy wszystkim za ten rok
i już zapraszamy na Orszak Trzech Króli
6 stycznia 2021 r.**

Organizatorzy

(Ciąg dalszy artykułu z 13. numeru Kwartalnika).

Roman Dziergwa

Kolej żelazna Poznań-Kluczbork (1875) i jej znaczenie polityczno-gospodarcze w systemie kolei pruskich. Powstanie i architektura wybranych obiektów dworcowych

Obok budynku dworca kolejowego znalazło się pomieszczenie dworca towarowego, zwanego również ekspedycją kolejową. Przy drodze do Mikstatu zbudowano nastawnię kolejową; druga znalazła się przy drodze żelaznej do Grabowa nad Prosną. Przy dworcu stała także wieża wodna wodociągu kolejowego. Budynek mieszkalny dla kolejarzy odcinka ostrzeszowskiego, pobudowany pod koniec zaboru pruskiego, usytuowany jest po prawej stronie drogi do Grabowa nad Prosną, tuż za przejazdem kolejowym. Przy ulicy Mikstackiej zbudowano budynek kolejowy administracyjno-mieszkalny. Dwa ponadstuletnie dwupiętrowe budynki mieszkalne dla kolejarzy stoją niedaleko od siebie przy drodze do Mikstatu. Trzeci taki sam postawiono przy ulicy Wiejskiej przy torach kolejowych między wiaduktami od strony wschodniej Ostrzeszowa.

Z kolei kępiński dworzec kolejowy wybudowano ok. 2 km od śródmieścia; dla dogodniejszej komunikacji zbudowano potem jeszcze na potrzeby linii kolejowej do Namysłowa osobowo-towarowy Dworzec Zachodni. Kiedy w 1875 r. skrzyżowano go z istniejącą już linią kolei poznańsko-kluczborskiej, niezbędna okazała się modernizacja stacji. Nad torem kolei warszawsko-wrocławskiej przerzucono prostopadle po wiadukcie nowy tor wsparty od południa i północy na ziemnych nasypach, wskutek czego każda linia dysponuje do dzisiaj peronem, usytuowanym na innym poziomie. Dla podróżnych wzniesiono nowy dwupoziomowy dworzec z wieżyczką mieszczącą podręczną windę towarową. Podczas układania drugiego toru na linii poznańsko-kluczborskiej wybudowano mocniejszy dwutorowy wiadukt. Stacja w Kępnie jest obecnie gruntownie wyremontowaną unikatową budowlą, dwupoziomową z krzyżowym usytuowaniem peronów (jeden z dwóch tego rodzaju obiektów w Polsce – drugi w Kostrzynie nad Odrą). Kępiński węzeł kolejowy był jednym z ostatnich miejsc w Polsce, gdzie kończyły żywot parowozy. Do początku lat 90. pociągi pasażerskie do Namysłowa i Oleśnicy były obsługiwane parowozami serii Tkt48. Dziś obydwie linie są nieczynne (linia do Namysłowa została rozebrana, jednak linia do Oleśnicy przez Syców znajduje się w trakcie rewitalizacji dla ruchu towarowego), dopuszczono niestety do barbarzyńskiej rozbiórki urokliwej parowozowni.

Wedle pastora Arthura Rhode – absolwenta kępińskiego progimnazjum – ucząca się w Kępnie młodzież korzystała przede wszystkim z komunikacji kolejowej. Interesujące były wywody autora na temat budowy linii kolejowej wrocławsko-wieluńskiej i takiego usytuowania dworca kolejowego. W jego opinii władze wielu miast poznańskich zachowywały się podczas budowy linii kolejowych zupełnie krótkowzrocznie, nie przywiązując żadnej wagi do bliskości dworca kolejowego; kolej miała ich zdaniem jedynie „wywozić kupujących na zakupy do wielkich miast”. Oprócz tego władze miast domagały się za działki budowlane zawyżonych cen, toteż towarzystwa kolejowe decydowały się na przeprowadzenie torów kolejowych w dość dużej odległości od nich, co wydłużało i utrudniało bezpośredni dostęp do stacji kolejowych. I dlatego podczas złej pogody, aby dojść do centrum Kępna, uczniowie korzystali z omnibusu, natomiast przy dobrej aurze dużą radość miał im

sprawić pieszy spacer.

Powstanie dwóch analizowanych stacji było związane z tzw. drugą fazą pruskiej architektury kolejowej. Przypadła ona na lata 60. i 70. XIX wieku, na okres, gdy koleje budowały wciąż prywatne towarzystwa akcyjne. W stylistyce architektonicznej stosowano wtedy ceglane elewacje o zanikających cechach architektury średniowiecznej i nowożytniej. Forma dworca bazowała na stylu arkadowym, więc zarówno otwory drzwiowe, jak i okienne zwieńczone były pełnym łukiem; z czasem zwieńczenia okienne zaczęły mieć charakter odcinkowy. Stopniowo odchodzono od tynkowania elewacji. Elewacje wykonywano z reguły z żółtej lub czerwonej cegły; niekiedy otrzymywały one bogatą ornamentykę w postaci fryzów i gzymsów z nawiązującymi do antyku motywami roślinnymi. Do korpusu dworca dostawiano często niższe skrzydła różnej długości.

Dworce miejskie miały przy tym charakter reprezentacyjny. Analogiczną względem siebie oprawę architektoniczną jako punkt pośredni i końcowy otrzymały dworce w Jarocinie i Kluczborku. W obu przypadkach 2 nieregularne części połączono niższym pawilonem. W elewacjach wykonano wykwiłtne wykroje okienne, w których płyciny ozdobiono alegorycznymi malowidłami roślinnymi o treściach związanych z transportem, komunikacją oraz handlem.

Dworzec w Kępnie otrzymał jednak zgoła nietypowe rozwiązanie w postaci trzykondygnacyjnej, osmiokątnej wieży, umieszczonej w południowo-wschodnim narożu budynku o konotacji średniowiecznej. Pod koniec lat 70. XIX wieku dworce zaczęto budować w modnej dla końca XIX w. konwencji przemysłowej o ceglanych elewacjach, nazwanej przez ówczesnych architektów terminem Rohbau. W większych miejscowościach stosowano bardziej urozmaiconą ornamentykę elewacji, natomiast w mniejszych redukowano ją do minimum.

O czym się jednak rzadko w dotychczasowych publikacjach mówiło i mówi, jednym z najważniejszych kryteriów budowy ówczesnych kolei były oczywiste względy militarne. Należy wskazać, że imperialna polityka Prus jako państwa dążącego do dominacji jeszcze w Związku Państw Północnoniemieckich oraz balansujących pomiędzy Francją a Rosją sprawiała, że Prusy były szczególnie narażone na zagrożenia militarne. Z tego powodu wiele miast Śląska oraz prowincji poznańskiej miało status twierdzy, co odgrywało ważną rolę przy kształtowaniu sieci kolejowej.

Wyrażało się to w. in. we współdecydowaniu sztabu generalnego o usytuowaniu każdej linii kolejowej. Podobnie jak w Prowincji Śląskiej wyglądała sytuacja w Prowincji Poznańskiej, w odniesieniu do której podstawowa doktryna militarna mówiła, że linie kolejowe mają być poprowadzone rokadowo, czyli w linii północ-południe. Obawiano się bowiem, że położenie na linii wschód-zachód w razie konfliktu militarnego umożliwi Rosjanom łatwe dotarcie do Poznania i Berlina. I tak np. linia Wrocław-Poznań wraz z jej bocznym odgałęzieniem cieszyła się aprobatą pruskiego Ministerstwa Wojny ze względu na rokadowe położenie oraz połączenie twierdz

Poznań i Głogów z Górnym Śląskiem.

Podobnie było z kontynuacją wymienionej linii na odcinku Poznań-Bydgoszcz. W tym przypadku władz wojskowe liczyły na połączenie twierdz Poznań i Gdańsk. Właśnie czynnik militarny powodował, że prowincja poznańska na całej linii granicznej z Rosją posiadała zaledwie dwa kolejowe przejścia graniczne, w tym w Skalmierzycach, uruchomione dopiero w r. 1906. Za to na Śląsku, graniczącym z sojuszniczą Austrią, było ich kilkanaście.

Dobrym przykładem na aspekty militarne była budowa w 1879 r. dworca Poznań Główny, który w razie oblężenia miasta miał służyć za koszary obronne. Po jego uruchomieniu wrocławska firma wykonała specjalne stalowe drzwi, które zamontowano w 1884 r. Podobnie było z mostem kolejowym na Starołęce, wyposażonym po każdej stronie w tzw. blockhausy. Wyraźnie było widać realizację celów politycznych założonych w odniesieniu do całego państwa pruskiego.

W pierwszej fazie polityki komunikacyjnej brak środków ze strony państwa skłonił władze do oddania inicjatywy prywatnemu kapitałowi. Mając na uwadze fiskalne oraz militarne znaczenie ko-

lei, państwo udzielało gwarancji odsetkowych na akcje emitowane przez towarzystwo oraz nabywało je. Dopiero po ustabilizowaniu się sytuacji finansowej towarzystw kolejowych w II połowie lat 40. XIX w. państwo zaczęło zwiększać swój wpływ na koleje, rozpoczynając tzw. schleichende Verstaatlichung.

Oprócz jednoczesnego budowania sieci kolei państwowych państwo przejęło administrację nad kolejami prywatnymi, co sprawiło, że nie musiało wykupywać kolei, a jednak miało nad nimi kontrolę. Lata 70. XIX w. przyniosły większe niż w poprzednich dekadach wzmocnienie działań na rzecz systemu kolei państwowych. Przemawiało za tym wiele powodów, do których należy zaliczyć dobrą sytuację finansową państwa po wojnie francusko-pruskiej, wynikającą z napływu kontrybucji wojennych. Drugą ważną przyczyną była trudna sytuacja spółek prywatnych, które ucierpiały z powodu kryzysu giełdowego w 1873 roku. Od połowy lat 70. państwo pruskie rozpoczęło ponownie powolne upaństwowienie poprzez przejmowanie przez zarząd, szczególnie nad spółkami o niekorzystnym położeniu finansowym.

Jednak rozpoczęcie procesu upaństwowienia nastąpiło dopiero po zwycięstwie w wyborach partii konserwatywnej, która poparła rządowy plan. W okresie 5 lat do 1884 r. upaństwowione zostały najważniejsze spółki w państwie. Tendencja taka panowała w wielu krajach na świecie. Można przypomnieć, że u podstaw skupiania kolei w rękach państwowych leżała ówczesna ogromna dochodowość kolei oraz wzmiankowane już jej kluczowe znaczenie militarne. Do 1914 r. długość sieci kolejowej prowincji poznańskiej wyniosła 2867 km, co stanowiło ok. 7,4% długości pruskiej sieci kolejowej. Niemniej w okresie późniejszym od drugiej połowy lat 90. XIX wieku nade wszystko cele germanizacyjno-kolonizacyjne stały się jednym z podstawowych wyznaczników decydujących o budowie nowych linii kolejowych.



17 marca to dzień urodzin nieodżałowanego Tadeusza Pacanowskiego, wybitnego ostrzeszowianina, który odszedł od nas jesienią 2017 r., kilka miesięcy przed oczekiwanym przez wielu krewnych, przyjaciół i znajomych jubileuszem 100-lecia. Aby jego sylwetka jak najdłużej pozostała w naszej pamięci, warto przytoczyć kilka słów, wypowiedzianych przez niego przy okazji wręczenia medalu „Za zasługi dla Miasta i Gminy Ostrzeszów”:

Są cechy, które człowiek dziedziczy w genach lub przejmuje od swoich rodziców. Kiedyś, dawno temu, wychowanie dzieci było najważniejsze. Na przekór różnym zakrętom historii naszego kraju, wychowanie w poszanowaniu starszych, ludzi zasłużonych dla swego miasta i ojczyzny, nauczycieli, przekazywanie patriotyzmu, było rzeczą podstawową. Dlatego zawsze będę bronił dobra rodziny- zaznaczam: porządnej i patriotycznej rodziny- oraz wychowania dzieci w poszanowaniu dla religii katolickiej. Jeżeli jako rodzice nie nauczymy swych dzieci dobroci, radości, uprzejmości i pamięci dla swych przodków w najbliższej rodzinie, nie oczekujemy później u nich tych wartości w życiu dorosłym, nie dziwnym się, że jest jak jest! Brzmi to patetycznie i staroświecko, ale taka jest prawda. Jestem człowiekiem zawsze szczęśliwym, radosnym, zawsze w ruchu. Nawet gdy było głodno i chłodno (były takie czasy), nie mówiłem, że jest mi źle. Cieszyło mnie, że żyję, mogę mieszkać w Ostrzeszowie i uczestniczyć w życiu mojego pięknego miasta. Należałem do prawie wszystkich organizacji charytatywnych. Działalem społecznie i nigdy nie oczekiwałem za to zapłaty. Cieszył mnie uśmiech mieszkańców i możliwość pomocy innym. Uważam, że człowiek powinien coś robić dla otoczenia. Myśmy tacy byli i dlatego jestem zawsze uśmiechnięty. Mogę powiedzieć wszystkim, że życie przeżyłem uczciwie i dlatego nie będę się bał stanąć przed Bogiem.



foto: G. Kuśnierczyk

LOSY RODZINY PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ - na przykładzie mojego ojca Bernarda Horsthemke

Mój ojciec urodził się w 1915 roku w miejscowości Oelde (Westfalia, Niemcy). Do szkoły podstawowej i średniej uczęszczał w Ostrzeszowie. W 1935 roku ukończył prywatne Gimnazjum ks. Salezjanów (obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej - Curie). Zasadniczą służbę wojskową odbywał w okresie 18. 09. 1935 - 18. 09. 1936. W 1938 roku został mianowany na stopień podporucznika rezerwy w korpusie oficerów piechoty. Dokumentem na to jest patent oficerski nr 3231/ 1038 z dnia 22. 09. 1938, podpisany przez ówczesnego Prezydenta Rzeczypospolitej - Ignacego Mościckiego. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej został w dniu 24. 08. 1939 roku zmobilizowany i powołany do czynnej służby wojskowej w 68 pułku piechoty we Wrześni. Od 1 do 17 września 1939 roku brał udział w walkach z najeżdżącą niemieckim w okolicach Słupcy, Konina, Koła, Łęczycy i Sochaczewa jako dowódca plutonu strzeleckiego moździerzy. Oddział ten wchodził w skład 1 kompanii I batalionu piechoty Armii Poznańskiej.

Podczas walk w ogniu nieprzyjaciela zginęło m. in. 8 żołnierzy z plutonu ojca. Pod wieczór 16 września 1939 roku nad Bzurą w okolicy Sochaczewa nastąpiło ostateczne natarcie Niemców. Polacy zostali otoczeni z 3 stron. Pod osłoną nocy ojciec wycofał resztki pododdziału - około 30 żołnierzy. Widząc, że dalszy opór będzie bezcelowy, dał rozkaz kapitulacji, co nastąpiło w godzinach popołudniowych 17 września 1939 roku. Po złożeniu broni został następnego dnia odłączony od reszty żołnierzy i włączony do grupy oficerów w kolumnie jeńców wojennych prowadzonych do Sochaczewa. Następnie przebywał w obozach przejściowych w Sochaczewie, Żyrardowie, Skierniewicach i Kaliszu. W początkach października 1929 roku wywieziono ich do obozu - oflagu XA w Itzehoe, następnie do Sandbostel, Lubeki i Woldenbergu (oflag II C), gdzie przebywał do czasu wyzwolenia obozu. Woldenberg to obecnie miasteczko Dobięgniew na ziemi gorzowskiej.

W obozach jenieckich ojciec przebywał w okresie od 18.09.1939 do 30.01.1945 roku. Jako jeńiec otrzymał nr ewidencyjny 1241. Waldenberg był największym obozem jenieckim dla polskich oficerów w czasie II wojny światowej. W 1942 roku osiągnął największy stan osobowy - 6740 jeńców, w tym 5944 oficerów i 796 posiadających niższe stopnie wojskowe. W barakach obozowych ojciec pełnił funkcję oficera gospodarczego. Pomimo faktu, że był to obóz jeniecki dla oficerów, cały czas istniała groźba wywozu do obozów koncentracyjnych, do czego jednak nie doszło.

Obóz Waldenberg został wyzwolony przez armię radziecką 30 stycznia 1945 roku.

Po powrocie ojciec mógł od nowa rozpocząć życie rodzinne, społeczne i zawodowe jako urzędnik pocztowy na różnych stanowiskach w Ostrzeszowie, następnie w Ostrowie Wielkopolskim i Kaliszu. Z obozu pracy w Niemczech powróciła też moja matka. W dniu 12. 10. 1963 roku ojciec został awansowany do stopnia porucznika rezerwy w korpusie oficerów artylerii. W 1967 roku rodzina nasza przeprowadziła się do Ostrowa Wlkp. Ojciec mój zmarł w 1997 roku w wieku 81 lat.

Na podstawie archiwum rodzinnego - Kazimierz Horsthemke, 27. 01. 2020 r.



ROZMOWA Z ADAMEM FULARĄ STYL GITAROWY PROSTO Z OSTRZESZOWA

- *Proszę powiedzieć kilka słów o sobie czytelnikom, którzy może jeszcze Pana nie znają.*
- Nazywam się Adam Fulara, jestem nauczycielem, którego wielką pasją jest muzyka oraz-nieco mniejszą - programowanie.

- *Co Pan myśli o dzisiejszej kulturze?*

-To trudne pytanie. Trzeba jasno rozróżnić dwa rodzaje kultury - zwykłe piosenki pisane z myślą o „targacie” i zdobyciu jak największej ilości „lubię to” (bez znaczenia jest tutaj gatunek muzyczny) - to jest kultura masowa, rozrywka komercyjna, która funkcjonuje obok tzw. kultury wysokiej: muzyki klasycznej i jazzowej. Inny jest cel tworzenia obu rodzajów muzyki. Pierwsza służy głównie do zarabiania pieniędzy. Najważniejszy jest wokalista, jego charyzma, tekst piosenki, sprzedaż, skandal. Jakość towarzyszącej mu muzyki jest bez znaczenia. Dziś większość takiej muzyki tworzona jest na komputerach i nie ma tam żywego zespołu, a nawet jeśli - jego znaczenie jest marginalne, można zamienić dowolnego muzyka na innego i nie będzie to miało znaczenia. Drugi rodzaj to kultura wysoka. Tam chodzi o bycie artystą, czyli poszerzanie języka muzyki, definiowanie własnego odrębnego świata dźwięków, a następnie wyrażanie emocji przez ten pryzmat. Dziś w radiu słowa „artysta” używa się w odniesieniu do zespołów z pierwszej grupy - zupełnie sprzecznie z jego encyklopedycznym

znaczeniem: „Artysta – twórca tym różni się od rzemieślnika – odtwórcy, że swoje dzieła tworzy w oparciu o własną koncepcję” – czytamy. Muzyka jest bardzo konkretna pod tym względem i łatwo pokazać palcem zespoły mające własną koncepcję i rozwijającą ją od takich, które jej nie mają i kopiują wyłącznie tricki wymyślone wcześniej. A nie mają pomysłu zazwyczaj ci, którzy tworzą w oparciu o „target” – badania rynku, wymogi wytwórni czy dla środowisk związanych z określonym gatunkiem muzyki. Oczywiście są artyści piszący proste piosenki, tacy jak Michael Jackson. Nikt przed nim tak nie śpiewał, nie frazował i nie rytmizował w ten sposób linii wokalne. Wielki innowator, geniusz, który połączył sztukę z rozrywką masową. Dodajmy, że jego producentem był Quincy Jones – wybitny muzyk jazzowy.

Został Pan zauważony nie tylko w Polsce, ale i za granicą; od czego to się zaczęło?

Jestem zwykłym mieszkańcem małego miasteczka. Jedyne co mnie wyróżniało za młodu, to pasja do dźwięków, która z siłą czarnej dziury pozwoliła mi chłonąć dosłownie wszystko, co związane jest z muzyką; od klasycznych zawitych polifonii Bacha do improwizacji Charliego Parkera, od heavy metalowych riffów do hip-hopowego timingu. Interesowało mnie dosłownie wszystko, co było związane z muzyką. To mnie wyróżniało; koledzy muzycy często chcieli grać, zakładać zespoły, ale bardziej chodziło im o to, żeby się pokazać, żeby przyszło dużo ludzi na koncert i potem ich chwaliłi. Sama muzyka była drugoplanowa – nie interesował ich timing, frazowanie, akcentowanie itp. Dziś pewno podobnym celem byłoby sto tysięcy lajków pod nagraniem. Nigdy taki nie byłem, choć odnosiłem też takie sukcesy. Jeden z filmów na You Tube, z wykonaniem utworu J. S. Bacha, miał ponad półtora miliona wyświetleń. To cieszy, ale film był słaby muzycznie, więc go usunąłem. Popularność jednak pozwoliła mi koncertować na całym świecie z naprawdę wybitnymi muzykami – znacznie lepszymi ode mnie – pierwszą światową ligą.



Co by Pan poradził młodym muzykom z naszego miasta, którzy też chcieliby odnieść sukces?

Mogę odpowiedzieć, że przede wszystkim trzeba znaleźć swój styl. Na przykładzie – w Ostrzeszowie mamy kilka uzdolnionych wokalistek, takich miasteczek w Polsce jest 300, w USA 6000. Młode wokalistki przeszły jakiś tok edukacji muzycznej, ale nie robią nowych rzeczy dla muzyki, nie przekraczają granic, po prostu ładnie śpiewają. Takiego wokalisty nikt nie ściągnie na koncert do Warszawy, bo tam jest naprawdę w czym wybierać, nie mówiąc o Nowym Jorku. Aby dostać takie zaproszenie, musimy mieć coś do pokazania, musi być jakiś konkretny powód. Podobnie – gdybym był rasowym gitarzystą bluesowym, grającym bardzo pięknie i emocjonalnie schematy wymyślone wcześniej przez innych – nikt by mnie nie zapraszał do Nowego Jorku, bo tam na miejscu są tysiące takich muzyków. Co nie wyklucza, że można być wielkim artystą, grając bluesa. Jeśli ktoś naprawdę zdaje sobie z tego sprawę, zrobienie kolejnego kroku nie będzie trudne. W mojej szkole staram się tę wiedzę przekazać wychowankom, zaszczerpić w nich chęć bycia artystą, kreatywność. Mają już swoje pierwsze sukcesy, ale tak naprawdę jeśli choć jeden z nich zrobi to dobrze – warto było.

Co jest dla Pana najważniejsze w byciu muzykiem?

Rozwój; czuję się cały czas jak na wielkich studiach. Muzyka bardzo dobrze oddziałuje na mózg i jego prawidłowy rozwój. To jedyna dziedzina sztuki angażująca obie półkule mózgowie w jednakowym stopniu. Są dobrze udokumentowane badania poświęcone tworzonemu dodatkowym połączeniom w mózgu muzyków, już u małych dzieci. Szybciej i więcej kojarzą, mają wyższy iloraz inteligencji jeśli muzykują, a oddziaływanie to jest tym większe, im bardziej są świadome. To się nie zmienia z wiekiem; do dziś po ćwiczeniach na gitarze (ćwiczy się to, czego się nie potrafi) czuję, jak mi się kręci w głowie; to sprawia, że ciągle idę do przodu. Gdybym poprzestał na studiach informatycznych i uczeniu w szkole, już dawno temu przestałbym się rozwijać, a już na pewno nie w takim tempie.

Czy nie jest tak, że w dużym mieście miałby Pan więcej szansy na rozwój?

Tak i nie. Duże środowiska manierują. Na przykład gdy koncertowałem w Stanach, chodziłem na koncerty do klubów jazzowych. Zazwyczaj w zespole była jedna „gwiazda”, to znaczy leader, który faktycznie miał pomysł i styl, a reszta składu to świetni rzemieślnicy, tak jak po akademii muzycznej – wszyscy brzmieeli tak samo i grali te same, albo podobne frazy. Dużo świetnych muzyków, mało artystów. Obcowanie z wybitnymi muzykami pomaga, ale wcale nie musi odbywać się każdego dnia. Dlatego wolę Ostrzeszów, choć tu brakuje środowiska związanego z muzyką improwizowaną. Światłem w tunelu są moi absolwenci; wielu z nich zapowiada się na świetnych muzyków jak m. in, Bartek Jambroży, Piotrek Bielasty, Samuel Ślak czy Szymon Jeziorny... Z nimi najbardziej lubię niekończące się dyskusje poparte wspólnym ogrywaniem standardów. Za kilka lat na pewno będziemy dyskutować na równym poziomie.

Lubi Pan swoją pracę?

Mama mówi, że bardzo mam dobrze, prowadząc różnorodny tryb życia. Trochę uczyć w szkole programowania, co też bardzo lubię – to jest





w tej chwili najbardziej dynamicznie rozwijająca się dziedzina, jeśli chodzi o poziom zarobków i perspektywy – co sprawia, że niektórzy uczniowie traktują moje przedmioty naprawdę poważnie. Lubię pisać felietony do „Gitarzysty”, które są cięte i kontrowersyjne, ale dzięki temu poczytne. Lubię uczyć grania, bo to sprawia, że sam sobie porządkuję w głowie te rzeczy związane z improwizacją i staje się ona coraz bardziej naturalnym moim językiem przekazu (co wcale nie jest proste ani oczywiste). Wszystkim uczniom życzę jak najlepiej – niech mnie przebiją i zrobią kariery – czy to w informatyce, czy muzyczne. Lubię w końcu grać z moim zespołem, nagrywać, rozwijać się i po prostu grać na gitarze, co ciągle wypełnia często wiele godzin mojego wolnego czasu. Tu najbardziej lubię „budować mój mały domek” - tj. zgłębiać regiony muzyki, w których nikt do tej pory nie był. To jest w ogóle sens mojej muzycznej drogi – gdyby nie to, dawno temu przestałbym grać i zajął się czymś pożyteczniejszym. Moje całe dni wypełnia praca, choć staram się znaleźć też czas dla rodziny, bo to ona jest najważniejsza i napędza mnie do robienia tych wszystkich rzeczy. Lubię też drobne rzeczy – przyrodę wiosną, jazdę na rowerze, piękno tego świata. Nie lubię blichtru związanego z wyjazdami zagranicznymi, sam widziałem jak to wygląda. U sąsiada trawa jest bardziej zielona – ludzie nie doceniają Polski i tego co mamy: dobrobytu, pokoju, wszyscy wszystko mają (co nie oznacza, że są bogaci), to naprawdę wielka rzecz. Nie zawsze tak było, pamiętam czasy komunizmu, cieszę się, że żyję teraz, jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. Chciałbym tą radością i optymizmem dzielić się z innymi.

Jakie są Pana najbliższe plany?

Pracujemy z zespołem nad trzecią płytą i jest to w dużej mierze praca twórcza. Improwizacje w nieparzystym metrum, polirytmiczne kompozycje, potrójny timing, to bardzo wymagające zagadnienia, przy tym staram się wszystkiego używać gładko- jak kiedyś napisał ktoś mądry, „jazzman to człowiek, który sprawia, że trudne rzeczy brzmią gładko i prosto”. Taka była pierwotna idea jazzu, dziś już nieobowiązująca. Chcemy się rozwijać, choć dużo łatwiej byłoby po prostu grać to samo w kółko. Wielu fanów czeka na nową płytę. Nie wiem czy Pan uwierzy, ale sprzedaliśmy prawie cały nakład poprzedniej. Często po koncertach liczba wykupionych biletów była zbliżona do ilości sprzedanych płyt. Przy dzisiejszej znikomej sprzedaży płyt to rzecz niezwykła.

Pracuję też nad innowacyjnym podręcznikiem do nauki muzyki improwizowanej, połączonym z komputerowym systemem Maestro, który sprawdzi stopień przerobienia podręcznika za pomocą testów i zabaw z muzyką. Wkrótce premiera, podręcznik ukaże się nakładem wrocławskiego wydawnictwa ABsonic. Jedną z ciekawych rzeczy w tej książce jest tzw. „Metoda Fulary”, czyli sposób na szybką naukę improwizacji na instrumencie.

Na czym polega ta metoda?

Przez lata szukałem czegoś, co niewielkim nakładem pracy pozwoliłoby nauczyć się improwizacji na poziomie. Bo to nie jest tak, jak się często myśli, że improwizacja polega po prostu na graniu nie wiadomo czego. Mamy tradycję, w której są gamy, akordy, tego wszystkiego trzeba się nauczyć. Jest model akademicki, amerykański, uczony także na polskich uczelniach, obejmujący ogrywanie akordów skalami. Czyli mamy tzw. „chwyt” do piosenki i do każdego chwytu dopasowujemy inną skalę, którą należy umieć we wszystkich pozycjach na instrumencie. To jest ogrom pracy, który kończy się to tym, że uczniowie kończą akademię i nadal nie umieją improwizować: albo frazowanie kuleje, albo budowanie formy, a najczęściej wszystko po trochu. Idea, która przyświeca metodzie Fulary, to maksimum efektu przy minimalnym nakładzie pracy. Wychodzimy od całkowitej świadomości tego, co się gra w czasie improwizacji. Świadomość w improwizacji polega na tym, że słyszymy jakiś akord i potrafimy do niego w melodii zagrać dźwięk o określonym charakterze: ładny, przezroczysty, kontrowersyjny albo brzydki. Jeśli to umiemy, działa to też w drugą stronę – wokalista śpiewa piosenkę, a my jesteśmy świadomi kolorów, których użył kompozytor. O, tu chciał mieć ładny dźwięk, a tu melodia staje się kontrowersyjna, aby za chwilę stopić się pięknie z tłem. To potęga. Ktoś, kto tak umie – ma władzę nad muzyką – może improwizować, komponować, aranżować, mądrze interpretować nawet bez użycia tzw. kanonu wykonawczego – ponieważ sam podąża za myślą kompozytora.

Uchyli Pan rąbka tajemnicy?

Tak, napisałem o tym w „Gitarzyście” artykuł pt. „Metoda Fulary”, w którym opisałem proces edukacji. Felieton można przeczytać na mojej stronie www.fulara.com w dziale Artykuły – Felietony w „Gitarzyście”. Z grubsza chodzi o to, że pierwszym palcem zawsze gramy tzw. dźwięki wiodące, czyli najładniejsze w akordzie z podkładu, drugim gramy dźwięki przezroczyste, a małym kontrowersyjne. Muzycy nadużywają pierwszego palca, więc improwizacje z automatu stają się ładne. Opalcowania są trochę trudne, ale działają na wszystkich instrumentach: gitarze, basie, skrzypcach, po drobnych modyfikacjach także na instrumentach klawiszowych, dętych (mieliśmy sporo takich uczniów), a także przy nauce świadomego prowadzenia wokalu. Mamy kilku znakomitych wokalistów w szkole, a naszą główną prowadzącą jest Małgorzata Dytfeld. To chyba pierwsza, naprawdę świadoma tego co robi, wokalistka w naszym mieście. Reszta skupia się na kształceniu słuchu, a to za mało, żeby np. tworzyć wartościowe rzeczy, aranżować i być niezależnym od innych muzyków. Problem jest znany i globalny. Często widać to na przykładzie tzw. talent show – jest tam pełno dobrze śpiewających wokalistów, ale jeśli chodzi o własną twórczość, to już jest problem, nie mówiąc o stworzeniu własnego stylu. Już w XI wieku błogosławiony Gwidon z Arrezzo, nazywany ojcem muzykologii, napisał krytykę bezmyślnego procesu kształcenia wokalistów. Stała się ona mottem jednego z rozdziałów najnowszej biografii Jana Sebastiana Bacha.

Czy mamy jakieś efekty kształcenia tą metodą? Uzdolnionych absolwentów?

Oczywiście. Niespełna dwa lata temu moja szkoła obchodziła 10-lecie istnienia. Z tego powodu zorganizowaliśmy koncert w OCK, na którym wystąpiło wielu świetnych muzyków. Pamiętam, że jak zaczęli grać, to ich bardziej doświadczeni koledzy często się śmiali; obecnie ci sami koledzy są tam, gdzie byli wtedy, a moi absolwenci – daleko z przodu. Bartek Jambroży zdobywał laury w marcu zeszłego





roku w konkursie Bielskiej Zadymki Jazzowej i razem ze mną pojechał na warsztaty z Patem Metheny. Referencyjne nagranie YouTube to „All The Things You Are” w wykonaniu Bartka i siostr Skrobek. Tam stosuje on metodę Fulary. Innym moim uczniem jest metalowy gitarzysta Jarosław Nyckowski, znany polski gitarowy blogger, który moją metodą nagrał „Killer guitar solo”. W krótkim czasie, po okresie stagnacji, zapisał się do mnie na lekcje i w rok zrobił ogrom pracy. Te dwa przykłady pokazują, że metoda jest przezroczysta – można nią grać heavy metal, bluesa, jazz, hip-hop, pop, muzykę klasyczną, cokolwiek. Metoda nie narzuca gatunku. Jedynym warunkiem działania metody jest harmonia funkcyjna, która obecna jest niemal w każdej piosence, z wyjątkiem jazzowej i klasycznej awangardy. Mamy też wielu innych absolwentów – np. Ewa Owczarek – świetna basistka z Marszałek – grająca interpretacje muzyki renesansowej na basie. Ktoś może

pomyśleć – cóż za ignorancja – muzykę renesansu powinno się grać na instrumentach z epoki. A jednak – Ewa po mojej szkole (a była to jej jedyna edukacja muzyczna) ukończyła studia z muzykologii z wynikiem bardzo dobrym. Jest ekspertem. Jej interpretacje zostały zauważone na Zachodzie. Mamy świetnego Szymona Jeziornego, który oprócz tego, że jest świetnym pedagogiem, organizuje od sześciu lat w Ostrzeszowie jam session – comiesięczne, cykliczne muzykowanie w „Alchemiku” (dawnej „Baszcie”). Szymon też gra pięknie, jest multiinstrumentalistą i nagrywa dobre rzeczy – np. muzykę filmową. Nie wszyscy o tym wiedzą. Szymon najbardziej ze wszystkich młodszych muzyków przypomina mi moje młode lata. Jest też wielu innych – Samuel Ślak, Oliwier Papiernik, Piotr Bielasty, Daniel Lisek i inni muzycy z ostrzeszowskich zespołów. Przez kilkanaście lat mieliśmy ponad 300 osób w szkole. Ze środowiskiem szkoły była związana też dobra wokalistka – Ola Danielska, oraz jej obecny zespół – Septymole. To naprawdę bardzo uzdolnieni muzycy, zwłaszcza leader – Miłosz Szefner, który obecnie jest też moim uczniem.

- Szkoła okazała się więc sukcesem. A jak to wygląda gdzie indziej?

Jest z tym różnie. Chciałem tu zaznaczyć, że nie wszyscy osiągają sukces. W szkole nie „kupuje się” sukcesu. Trzeba pracować – i to głównie praca ucznia decyduje o wyniku. Jeśli ma czas, choćby nawet pół godziny lub godzinę dziennie, jest w stanie osiągać szczyty. Dziś jest era rozpraszaczy: facebooka, gier wideo, seriali. To wszystko odciąga ludzi od wartościowych rzeczy i sprawia, że stają się konsumentami. Trzeba dziś być naprawdę silnym, aby umieć się temu przeciwstawić. Co do innych szkół – uważam nieskromnie, że mamy jeden z najlepszych systemów edukacji w Polsce. Nie tylko mamy naukę improwizacji, która w ciągu trzech lat uczy grania standardów jazzowych, w normalnym cyklu omawianych dopiero w cyklu akademickim, ale też mamy bardzo poukładaną naukę rozumienia muzyki. Uczę tak, jakbym sam chciał być nauczony. Obecnie trwają globalne dyskusje na temat przywrócenia do państwowej szkoły muzycznej nauki improwizacji. To zostało oddzielone gdzieś na progu XX wieku; od tego czasu nie pojawił się nikt na miarę wielkich kompozytorów, którzy byli też wielkimi improwizatorami. Poza tym najnowsze badania kreatywności wykazują, że muzyka jako taka jest jedyną dziedziną sztuki, podnoszącą w sposób widoczny i jednoznaczny iloraz inteligencji. Zrobiono badania na dużych grupach dzieci. Badano je w wieku przedszkolnym, potem niektóre z nich rozpoczęły różne kursy muzyczne. Po dwóch latach je badano ponownie i po dwóch kolejnych znowu. Okazało się, że dzieci grające mają dużo wyższy iloraz inteligencji niż te niegrające, ale i tak dużo niższy od tych, które zaczęły uczyć się na kursach improwizacji muzycznej. Dzieje się tak, bo muzyka to jedyna znana dziedzina, która aktywuje obie półkule mózgowe w stu procentach. Jeśli wymagamy dodatkowo kreatywności, to już nic lepszego nie można zrobić. Zainteresowanych tą tematyką odsyłam do wykładów Sir Kena Robinsona – brytyjskiego eksperta od spraw edukacji i kreatywności. Mozart zaczął komponować w wieku 5 lat, Chopin niewiele później napisał pierwszy utwór. Dziś dzieci w polskich szkołach uczą się kompozycji i improwizacji dopiero na studiach. Niekiedy wcześniej, ale to są wyjątkowe sytuacje. Problemem jest też to, że dziś w szkołach państwowych w ogóle nie ma przedmiotu muzyki, na przykład w szkołach średnich. W krajach wysoko rozwiniętych już zdano sobie z tego sprawę i np. w Finlandii muzyka, plastyka i zajęcia techniczne stanowią połowę czasu spędzonego w szkole. Kraje takie jak Stany Zjednoczone i Francja wprowadziły też z tego powodu naukę improwizacji w państwowym cyklu nauczania już od najmłodszych klas.

Co możemy na to poradzić?

Niewiele. Robię, co mogę na swoim podwórku i piszę o tym felietony. Wiem, że niektórym się to nie podoba – wkładam kij w mrowisko. Jadę teraz do Bobowej na festiwal gitarowy, będę robił warsztaty dla nauczycieli z państwowych szkół muzycznych. Opowiem tam o błędach, które widzę w powszechnej edukacji muzycznej oraz o tym, co ewentualnie moim zdaniem można zmienić. Błędy niewątpliwie są – ponieważ większość absolwentów tych szkół przestaje grać od razu po skończeniu nauki. Tak nie powinno być, to nie jest normalne. Wystarczy popatrzeć na statystyki. Nie chodzi o zmianę systemową – a raczej o otwarty umysł nauczyciela. Muzyki można nauczyć przecież na utworach Beethovena tak samo, jak na standardach jazzowych. W swojej książce mam nawet rozdział „Sposób na Chopina” w którym daję zapis preludium słynnego Polaka w realbookowej formie, czyli tak, jak zapisuje się standardy jazzowe. Jest melodia w nutach, nad którymi mamy zapis funkcyjny harmonii (bez zbędnych rozszerzeń). To świetna baza do improwizacji pokazująca też sposób myślenia słynnego kompozytora. Widzimy więc wszystkie progresje TSDT oraz progresję chromatyczną natychmiast, bez żadnej zbędnej analizy. To oczywiście tylko propozycja, jedna z wielu. Jednak mało polskich szkół (zarówno prywatnych, jak i państwowych) uczy rozumienia muzyki. Zazwyczaj uczy się piosenek i utworów tak, by szybko był efekt na koncert dla rodziców albo na kolejny egzamin. W ten sposób ćwiczymy palce, ale w głowie nadal pustka.

Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję także.

Rozmawiał: Wiesław Kaczmarek.





wielka orkiestra
świątecznej
pomocy





Marek Makięła Krąg rodzinny Antoniego Serbeńskiego

Z inicjatywy Poznańskiego Klubu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Ostrzeszowskiej, a przy pomocy Muzeum Regionalnego im. Władysława Goluśa, 5 października ub. roku odbył się w Ostrzeszowie pierwszy minizjazd rodu Serbeńskich. Naszym celem było pozyskanie od współcześnie żyjących

Serbeńskich maksimum informacji o ich rodowodzie, koligacjach rodzinnych, powinowactwie itp. O rodzinie bowiem można mówić dopiero wtedy, gdy się ją ujmie we właściwe ramy przestrzenno-czasowe, gdy się ustali najdawniej znane daty, miejsca, skąd się wywodziła, ilość pokoleń, które stworzyła, kiedy wyjaśni się powiązania rodzinne między poszczególnymi konarami i gałęziami. Zasadniczy jednak sens zajmowania się dziejami rodziny znajdujemy w poszukiwaniu człowieka i obrazu jego życia. Osobą, która nas w sposób szczególnie intrygowiała i skłoniła do podjęcia badań genealogicznych nad tym rodem, był oczywiście nasz mistrz ANTONI SERBEŃSKI. Spotkanie mocno rozbudowanego w przeszłości rodu Serbeńskich pozwoliło zrobić pierwszy krok do bliższego poznania kręgu rodzinnego naszego mistrza, a także dokonać weryfikacji jego życiorysu. Wszyscy bowiem wiedzą, że Antoni Serbeński nie założył rodziny, był kawalerem i nie pozostawił po sobie potomstwa. Musieliśmy sięgnąć do potomków jego brata Mikołaja, bliźniaczej siostry jego ojca Michała, a także udało się nam dotrzeć do ks. Andrzeja Hanicha, którego dziadek był bratem matki Antoniego - Anny z Hanichów Serbeńskiej. Wprawdzie to jednodniowe spotkanie rodu Serbeńskich nie pozwoliło nam w całości rozwiązać wielu zagadek dotyczących artysty i jego rodziny, ale pierwsze kroki zostały już poczynione i będziemy dalej poszukiwać śladów jego drogi życiowej i artystycznej, by wyjaśnić wiele luk i nieścisłości w życiorysie mistrza. Sam o sobie mało pisał i mówił. Otaczała go aura pewnej tajemniczości; jak wynika z relacji członków rodu - także w stosunkach z najbliższą mu rodziną.

SPROSTOWANIA BŁĘDÓW W BIOGRAFII MISTRZA

Na podstawie odbytych badań genealogicznych nad rodem Serbeńskich i informacji uzyskanych od powinowatych, udało się sprostować wiele nieścisłości, które znalazły się w jego życiorysie.

Pierwszym błędnym przekazem, który pojawia się u wszystkich biografów, jest enuncjacja, że ojciec Antoniego, Michał Serbeński, był zarządcą majątku w Potoku Złotym. Nawet wydany ostatnio piękny album z pracami malarskimi mistrza w przyczynku biograficznym autorstwa Katarzyny Bielawskiej daje nieudokumentowany pogląd, że: „Również dwór Gniewoszków, w którym jego ojciec Michał Serbeński był administratorem, odegrał niebagatelną rolę w rozwoju wrażliwości plastycznej chłopca, stając się pierwszą galerią wybitnego malarstwa polskiego z obrazami Fałata i Kossaka na czele”. Niestety, prawda jest całkowicie inna. Mały Antoś mógł nigdy nie być we dworze Gniewoszków - właścicieli ziemskich okolic Potoka Złotego, gdyż ojciec nie był zarządcą tego majątku. Dowód na

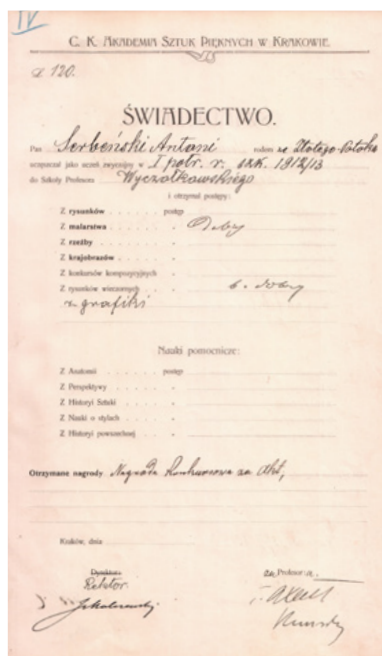


to znajdujemy w księdze chrztów parafii Potok Złoty, gdzie zawód jego ojca jest określany po łacinie jako „pellarius”, tzn. kuśnierz, garbarz. Zarządcą majątku był w tym czasie niejaki Antoniewicz, co potwierdza potomek właścicieli dworu w Potoku Złotym w korespondencji z Tomaszem Skrzypeckim z Opola, genealogiem rodzin potoczańskich. Zresztą gdy prześledzi się dokładnie zapiski metrykalne dotyczące przodków Antoniego, to prawie wszyscy męscy przedstawiciele rodu trudnili się kuśnierstwem, a zawód ten przechodził z ojca na syna, stąd takie kwalifikacje zawodowe nie mogły być podstawą do zatrudnienia w charakterze zarządcy majątku.

Drugą nieścisłością biograficzną jest informacja, że po śmierci rodziców Antoniego jego wychowaniem zajął się stryj Adolf, „lekarz ze Lwowa”. Otóż gdy w 1892 roku zmarła matka Anna z domu Hanich, ojciec ponownie się ożenił. Gdy i on zmarł w 1896 roku, Antoś miał 9 lat i macocha nie chciała dalej go wychowywać. Zajął się nim brat ojca - Adolf Serbeński, który nie był lekarzem, ale zawodowym wojskowym - sierżantem w c.k. armii austriackiej, a po 1918 r. chorążym i zbrojmistrzem w Wojsku Polskim. Początkowo mieszkał we Lwowie, później przeniesiony został do Nowego Sącza, gdzie - notabene - Antoni zdał maturę. Rodzina mieszkała wówczas w kamienicy przy ul. Lwowskiej 11. Stryj Adolf zapisał się w pamięci sądeczan jako niepodległościowy konspirator w szeregach c.k. armii austriackiej. Lekarzem we Lwowie był natomiast kuzyn Antoniego w III pokoleniu, ale z linii JANA, brata dziadka Antoniego Wincentego - Walerian Celestyn Serbeński.

Trzecim istotnym błędem faktograficznym w prawie wszystkich publikacjach jest doniesienie, że Antoni był uczniem Leona Wyczółkowskiego na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Niestety, nie był uczniem prof. Leona Wyczółkowskiego, bo ten przeszedł na emeryturę już 30.11.1911 i później nie wrócił na Akademię, a Serbeński rozpoczął studia dopiero w następnym roku. Błąd powielany jest na podstawie wystawionego Antoniemu Serbeńskiemu świadectwa z 1913 r., gdzie odnotowano, że uczęszczał na zajęcia do „Szkoły Profesora Wyczółkowskiego”, ale kierownikiem tej szkoły w tym czasie był już Teodor Axentowicz (vide podpis na świadectwie obok). Z informacji kierownika archiwum krakowskiej akademii dr Joanny Grabowskiej wynika, że potocznie mówiono o „szkole Wyczółkowskiego”, którą przed przejściem na emeryturę prowadził artysta.

Inną nieścisłością jest okres jego pobytu w Ostrzeszowie, utrwalony na tablicy pamiątkowej na domu przy ulicy Chmielnej. Owa płyta informuje o 32



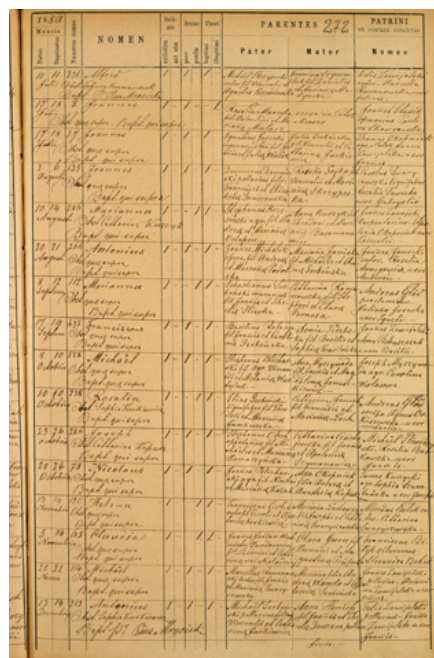
latach spędzonych w naszym mieście, a dodatkowo wskazuje na zamieszkiwanie mistrza w tym właśnie miejscu przez cały czas pobytu w Ostrzeszowie, co nie jest prawdą. W księgach meldunkowych jest odnotowany jego meldunek dopiero 10.11.1932 (wymeldowany z Ostrowa 29.10.1932!) Na początku pobytu w Ostrzeszowie mieszkał u p. Kahle przy ul. Kolejowej 46. Po trzech latach pobytu wymeldował się do Poznania, by zamieszkać tam przy ul. Stromej 26. Próbował wejść w środowisko artystyczne Poznania, gdyż prawdopodobnie miała sprzedaż obrazów w Ostrzeszowie zmusiła go do szukania innego rynku zbytu. W końcu z malowania żył. Po 6 miesiącach wrócił jednak do Ostrzeszowa i zamieszkał u Teofila Grafa na ul. Zamkowej 2. Meldunek opiewa na datę 14.10.1935. Następnie przeniósł się do budynku przy ul. Chmielnej 5 jako sublokator Stanisława Dobrosia, ale ten fakt nie jest odnotowany w księgach meldunkowych Ostrzeszowa. Z mieszkania tego miasto wyprowadziło mistrza do kłitki na ul. św. Mikołaja 22 w dniu 22.08.1956 roku. Uwzględniając jeszcze jego trzyletni pobyt na tzw. Einsatzu w Inowrocławiu na Kujawach w czasie okupacji, to jego stały pobyt w naszym mieście nie przekracza 20 lat.

Ciekawostką jest, jak mistrz Antoni trafił w swoim życiu na Ostrzeszów? Otóż z relacji Jana Marka Cieplika wynika, że na początku pracy pedagogicznej w Rawiczu spotkał się tam z ostrzeszowianinem Romanem Mendlewskim, który zaprosił mistrza do odwiedzenia Ostrzeszowa. Jak nam wiadomo, Antoni Serbeński bywał w Ostrzeszowie okazjonalnie, zanim na stałe przeprowadził się do naszego miasta. Być może ten fakt brali pod uwagę autorzy tekstu z tablicy pamiątkowej, pisząc o 32 latach „pobytu” Serbeńskich w Ostrzeszowie?

ETYMOLOGIA NAZWISKA SERBEŃSKI

Nazwiska używane w Polsce, zarówno obecnie, jak i w przeszłości, można podzielić na dwie wielkie grupy: rodzime i obce, przeniesione z innych języków do języka polskiego. Nazwiska polskie wywodzą się z wyrazów pospolitych, imion, nazw geograficznych z dodatkiem przyrostków słowotwórczych.

Idąc tym tropem, prof. Kazimierz Rymut sugeruje poszukiwać pochodzenia nazwiska SERBEŃSKI od słowa „Serb” - mieszkańca Serbii lub Łużyc, od którego w sposób naturalny utworzona została forma przymiotnikowa z przyrostkiem - ski co oznacza posiadanie lub pochodzenie. Ta hipoteza pokrywa się z informacją, rodową legendą, którą wysunął Józef Serbeński (*1928+2007), iż pochodzenie ich nazwiska należy łączyć ze Słowianami zamieszkującymi



Bałkany. Protoplasta tego rodu miał - jego zdaniem - pojawić się na terenie Rusi Halickiej po okresie wojen, jakie prowadziła Polska z Imperium Otomańskim w XVII wieku. Dobreńka piechota turecka, tzw. janczarzy, rekrutowała się głównie spośród narodów podbitych. Być może bałkański Serb, wcielony siłą do wojska tureckiego, zdezerterował podczas jednej z wojen polsko-tureckich i pozostał w Polsce, dając początek rodowi

Serbeńskich. Ta hipoteza staje się możliwa tym bardziej, że tak jak Serbowie, tak i Rusini mieszkający na terenie Rusi Halickiej i Podola byli wyznania prawosławnego, a nadto tamtejsze bardzo żyzne gleby i warunki klimatyczne, podobne jak w Serbii, zachęcały do osiedlenia się na tym terenie.

Tomasz Skrzypecki, który prowadził kwerendę najstarszych ksiąg metrykalnych parafii Potok Żłoty, ustalił, że po raz pierwszy nazwisko Serbeński pojawiło się pod koniec XVII wieku we wsi Kościelniki, oddalonej ca. 5 km na południowy wschód od miasteczka Potok Żłoty. Wszyscy jego przedstawiciele byli wyznania greckokatolickiego i co ciekawe zawodowo trudnili się kuśnierstwem. Najstarszym odnotowanym w księgach wyznania greckokatolickiego przedstawicielem rodu był Józef Serbeński, który urodził się ok. 1710 roku, z zawodu kuśnierz żyjący w związku małżeńskim z nieznaną z imienia i nazwiska kobietą. Mieli oni troje dzieci: Wasyla (*1736r.), Michała (*1739r.), Katarzynę (*1745r.). Dopiero w II połowie XVIII wieku pojawiają się Serbeńscy w rzymskokatolickich księgach parafialnych Potoku Żłotego, najpierw tylko jako rodzice chrzestni ze skrótem przy ich nazwisku R.G. (religia grecka). Później, żeniąc się z katoliczkami obrządku rzymskiego, stawali się członkami Kościoła rzymskokatolickiego.

PROTOPLAŚCI MISTRZA ANTONIEGO SERBEŃSKIEGO

Na początku XIX wieku z rodzin obrządku łacińskiego wyodrębniły się trzy gałęzie rodu Serbeńskich:

- 1 - najstarszą jest gałąź Mikołaja (ur.1782), którego syn Michał (ur.1810) był wójtem miejskim potockim,
- 2 - gałąź Jana (1783-1833), z której wyodrębniły się dwie linie rodu - Wincentego i Stefana,
- 3 - gałąź Aleksandra (1785-1874) z której wyodrębniły się dwie linie - Marcina (1844-1906) i Antoniego (ur. ok.1850)

Nasz mistrz Antoni pochodzi z pierwszej, najstarszej gałęzi Serbeńskich, choć jego przodek Mikołaj notowany jest jeszcze jako wyznawca religii greckokatolickiej. Dnia 3 października 1802 roku Mikołaj wziął ślub z Katarzyną Stebnowską obrządku rzymskokatolickiego i miał z nią dziewięcioro dzieci. I tak: pierwszym dzieckiem był Jan, który zmarł w dzieciństwie, drugim Marianna ur. 14 III 1805, zamężna Szymonowicz, trzecim Wincenty Serbeński ur. 5 VI 1808 Potok Żłoty zm. 12 X 1872 Potok Żłoty. Żoną jego była Katarzyna Jurkiewicz ur. 1814 zm. 15 II 1878 Potok Żłoty, czwartą Marianna ur. ok. 1809 zamężna Czajkowska, piątym Michał Serbeński ur. ok. 1810, wójt miejski potocki w 1852 roku. Miał dwie żony: Annę Kozłowską i Rozalię Czarkowską, szóstym dzieckiem była Antonina ur. ok. 1812 zm. 31 VIII 1894, zamężna Skrzypecka. Ślub wzięli w Potoku Żłotym 17 VI 1832 w kościele rytu łacińskiego, siódmym dzieckiem była Karolina ur. ok. 1820 zamężna Kollasa, ósmym - Stefan Serbeński ur. ok. 1835 w Potoku Żłotym, żona Julianna Jankowska, dziewiąty Piotr zmarł w dzieciństwie w 1837 r.

NAJBLIŻSZY KRĄG RODZINNY MISTRZA ANTONIEGO

Dziadkiem Antoniego był Wincenty Serbeński, potocki kuśnierz, który żył w latach 1808 - 1872. Z żoną Katarzyną z Jurkiewiczów (1814 - 1878) mieli jedenaścioro dzieci: Piotra, Rudolfa, Adolfa, Juliana, Michała i jego siostrę bliźniaczą Rozalię, Władysława, Emilię, Juliannę, Albina i Annę.

Ojciec Antoniego - Michał Serbeński urodził się w Potoku Żłotym 28.06.1852 roku, a zmarł tamże 01.03.1896. Żył tylko 44 lata. Miał dwie żony: Annę Hanich urodzoną w 1858 r., zmarłą 17.05.1892 r. oraz Katarzynę Palij, z którą wziął ślub po 6 miesiącach od śmierci pierwszej żony (07.11.1892). Z pierwszego małżeństwa urodziło się czworo dzieci: Mikołaj Serbeński (1882-1964), Antoni - nasz mistrz (1886-1957), Maria (1877-1969) zamężna Horyń i Katarzy-

na (brak danych metrykalnych). Z drugiego małżeństwa zaś dwie córki: Rozalia (ur.06.11.1893) i Julia (1896-1896). Nie udało się dotąd ustalić losów stryjów Antoniego tj. Piotra, Juliana, Władysława i Rudolfa, a także siostr oja poza bliźniaczą siostrą Rozalią (1852-1876), Emilią (1855-1877) i Julianną (1857-1882). Trochę więcej wiemy o stryju Adolfie, opiece Antoniego oraz o bliźniaczej siostrze oja Antoniego - ciotce Rozalii.

Kontynuatorami gałęzi w linii męskiej Serbeńskich, wywodzących się od Wincentego i Katarzyny z Jurkiewiczów Serbeńskich, są dzisiaj potomkowie starszego brata Antoniego - Mikołaja Serbeńskiego. Urodził się on 7 lutego 1882 roku w Potoku Żłotym, a zmarł 9 kwietnia 1964 r. w Krakowie. Z żoną Anną Rubis mieli troje dzieci: Zdzisława (1923-1944), który zginął w czasie okupacji niemieckiej, córkę Zofię (1925-1991) oraz syna Bolesława (1927-2018). Z kolei Bolesław i jego żona Krystyna Mikucka mają też troje dzieci: syna Macieja (*1956) i dwie córki: Agnieszkę (1961) i Annę (*1962). Współcześnie żyjącymi Serbeńskimi, wnukami Macieja, prawnu-

kami Bolesława i praprawnukami Mikołaja są dwaj bracia noszący imiona swoich przodków: Mikołaj (*2013) i Antoni (*2016).

Ta gałąź Serbeńskich, jak widać, ma swoich kontynuatorów.



foto: W. Kaczmarek

Jan Marek Cieplik O Rynku naszego miasta

Chciałbym opowiedzieć Czytelnikom o Rynku z okresu międzywojennego, właściwie z ostatniego okresu lat trzydziestych. Będzie to opis poszczególnych posesji z objaśnieniem, do kogo należały, co się w nich mieściło; jak wyglądał główny plac w mieście i jakie było jego znaczenie dla całej okolicy.

Rynek stanowił centrum handlowe oraz kulturalne. Zaczniemy od Ratusza. Pominę historię budowli, bo to jest ona na ogół znana, lecz opiszę, co się w nim mieściło przed wojną. Urzędował tutaj burmistrz - nie z wyboru, ale z nadania. Kierował on Urzędem Miejskim. W Ratuszu odbywały się posiedzenia Rady Miejskiej, która miała duży wpływ na jego decyzje, ponieważ od niej zależały fundusze prezydenta miasta. Ostatnim burmistrzem przed wojną był pan Żmudziński, mieszkający w budynku postawionym przez pana Golusa przy ulicy Sikorskiego, dawniej Krakowskiej. Poprzedni burmistrz, który mieszkał w Rynku u pana Prądyńskiego, pochodził z Kępna, nazywał się Sejdak. Znana to postać, bo był jednym z inicjatorów budowy basenu kąpielowego w Ostrzeszowie. Wracamy do Rynku. Ratusz był centralnym punktem, w którym - obok Urzędu Miasta, Urzędu Stanu Cywilnego - mieściła się Policja Miejska i było mieszkanie dla woźnego, pana Wieczorka. Należał do niego m.in. obowiązek ogłaszania komunikatów dotyczących mieszkańców miasta, zarządzeń burmistrza i rady. Pan Wieczorek wychodził ubrany w ciemny garnitur, który miał metalowe świeczące guziki, świadczące o ważności jego urzędu. Miał przy sobie dzwonek. Obchodził miasto, czytając te zarządzenia. Ważnym elementem Ratusza była wieżyczka z zegarem, nakręcanym przez pana Wieczorka, remontowanym przez ostrzeszowskich



zegarmistrzów. Obecnie zegar ten jest elektryczny. Na czterech rogach placu znajdowały się lampy gazowe. Podobne oświetlenie było też na ulicach: malownicze, świadczące o bogactwie miasta. Od strony wschodniej ulica była przejazdowa. W czwartki odbywał się przy Ratuszu targ, ale miejsca było tam mało, Ostrzeszów rozbudowywał się, więc zaadaptowano inne place, np. Borek, gdzie handlowano żywcem, plac Kazimierza oraz tzw. „kurzy targ” przy ulicy Sienkiewicza, gdzie - jak nazwa mówi - gospodynie sprzedawały drób, jaja, masło, sery i warzywa. Obok Ratusza handlowano przeważnie drobnym towarem oraz odzieżą i obuwiem.

Rozpocznę od zachodniej strony Rynku - od posesji pana Prądyńskiego, który był radnym miejskim kilku kadencji. Niezależnie od funkcji, prowadził drogerię. Pracowali u niego sprzedawcy i uczniowie, których nazywaliśmy drogistami. Pan Prądyński był znaną postacią. Miał też zainteresowania muzyczne.

Następny budynek, idąc w kierunku południowym, był własnością pana Biskupskiego, który prowadził sklep spożywczy oraz miał małą wytwórnię świec i szarego mydła. Przedbudynkiem pana Biskupskiego stały beczki ze śledziami. Czasami złośliwi mieszkańcy mówili, że idą na zakupy do „Śledzia”. Częściej to przewisko wyrażało sympatię, bo i pan Biskupski był wysoki, szczupły, więc pasowało do niego. Następnym budynkiem to kamienica Pelagii i Katarzyny Urbańskich, które prowadziły sklep wy-

jątkowy - z kapelusami. Po pewnym czasie wydzierżawiły lokal pani Szelmerowej, która zaczęła handlować obuwiem damskim z Czech. Był to elegancki magazyn firmy Leo. Częściej chodziliśmy w butach Bata, jednak i o nich mówiono: Bata, to się rozłata, tydzień chodzenia i do widzenia. Dalej była piekarnia pana Rogalewskiego. Wchodziło się do niego po schodkach (pod sklepem, czyli składem, była piwnica, na którą w gwarze ostrzeszowskiej mówiliśmy sklep). W tej piekarni sprzedawała miła ekspedientka, późniejsza pani Mamysowa, przystojna kobieta. Zawsze ubrana na biało, bardzo

elegancka, sprzedawała pieczywo. Następny budynek był własnością pana Lecha Kupczyka. Prowadził on sklep spożywczy oraz warszawianki i przetwórnictwo soków na skalę hurtową. Oczywiście w tych budynkach były mieszkania; duży budynek pana Prądyńskiego był wydzierżawiany, a pan Biskupski miał też inne domy w Ostrzeszowie - na ulicy Zamkowej piękny budynek willowy za wieżą zamkową.

To była zachodnia część Rynku. Kolej na pierzeję południową. Muszę wspomnieć o budynku, który dzisiaj nie istnieje, a był własnością pana Radkego, adwokata. Miał on na parterze kancelarię, na górze mieszkał z żoną. Dzieci nie mieli. Oboje byli wysportowani; pływali, uprawiali biegi i chodzili na długie spacerki. Ten budynek został w czasie okupacji rozebrany, bo trzeba było poszerzyć ulicę Krakowską, dzisiaj Sikorskiego. Zburzono też budynek stojący za nim, dom pana Szulca z zakładem fryzjerskim. W następnej kamienicy mieściła się apteka, jedyna w Ostrzeszowie, zaopatrująca w leki nie tylko miasto i szpital, ale też sąsiednie wsie i miasteczka. Apteka pana Pacanowskiego zatrudniała kilku farmaceutów. Osobą miłą i pełną ciepła była pani Pacanowska: zawsze pięknie ubrana, atrakcyjna. Pamiętam jej charakterystyczne białe kapelusze. Dalej był budynek pani Remelskiej, która prowadziła sklep obuwia. Wchodziło się do niego po schodach, a na nich siedział pięknie wyczesany piesek - biały szpic, ulubieniec właścicielki. W tym sklepie pomagała pani Galewska, która miała trzech, może czterech synów. Z pochodzenia była Niemką, ale zawsze optowała za Polską. Następny budynek w kierunku Fary należał do państwa Czechanowskich, a sklep prowadziła ich krewna, pani Czyżewska. Handlowała w nim - jak wtedy mówiono - artykułami krótkimi, to znaczy galanterią damską, czyli rękawiczkami, apaszkami, czapczkami, kapelusiakami, sukienkami. Duży sklep narożnikowy na skrzyżowaniu z ulicą Poprzeczną, należący do pana Bagniewskiego, oferował odzież, konfekcję oraz tkaniny najlepszego gatunku - materiały bielskie. W domu naprzeciwko, w którym dziś mieści się sklep PSS Społem, mieszkała rodzina państwa Perskich, znana i zasłużona dla Ostrzeszowa. Za ich budynkiem, w kierunku kościoła, na ulicy Mickiewicza była drukarnia i księgarnia pana Malinowskiego, redaktora „Gazety Ostrzeszowskiej”. Pan Malinowski to postać powszechnie szanowana. Bardzo dużo zrobił dla życia kulturalnego naszego miasta: nie tylko jako wydawca, ale także reżyser teatru amatorskiego i aktor. Drukował m.in. teksty Stanisława Czernika, odbijał drzeworyty Antoniego Serbeńskiego.

Na ścianie wschodniej znajdowały się sklepy branzowe braci Kirschów. Byli to Niemcy, którzy opowiadali się za Polską. Prowadzili sklep z porcelaną i artykułami kuchennymi, mieli też warsztat instalacji urządzeń wodno - kanalizacyjnych. Zatrudniali dobrych rzemieślników, którzy montowali wyposażenie łazienek, zakładali lampy gazowe. Sklep był dobrze zaopatrzony, a nas, dzieci, przyciągał np. tym, że można tu było kupić żywy. W tym miejscu warto nadmienić, że zimy kiedyś były długie i mroźne. Następny skład należał do państwa Kwiatkowskich. Handlowano tu artykułami żelaznymi: na potrzeby budownictwa, rolnictwa, do pieców itd. W sklepie obok, pana Hendrykowskiego, można było kupić mięso i wędliny. W czwartki, kiedy odbywał się targ, właściciel uruchamiał dodatkowe pomieszczenie, gdzie klienci mogli usiąść i zjeść z kotła ciepłe kiełbasy, kaszanki, parówki z dobrą, świeżą bułką i wypić herbatę. W tym budynku mieścił się też gabinet dentystyczny pana Szóstaka. Jako dzieciak miałem u niego przykre doświadczenia z zębami. W domu obok pan Zawielak prowadził sklep z artykułami naówczas, w dobie postępującej elektryfikacji, nowoczesnymi, takimi jak przewody elektryczne, kontakty, żelazka i radia. Budynek następny, pana Dirski, honorowego obywatela Ostrzeszowa, należał do ulicy Kolejowej, natomiast sklep z narożnika prowadził zięć

pana Dirski, pan Jan Wodniakowski. To był ciekawy magazyn. Mówiliśmy o nim: „Mały Wokulski”. Skąd się to wzięło? Pan Wodniakowski, żonaty z córką pana Dirski, sprowadził się do Ostrzeszowa z Warszawy. Starał się upodobnić swój sklep do tego, który znamy z „Lalki” B. Prusa. Dzieci szczególnie interesowała duża ilość zabawek.

Pozostała nam jeszcze do omówienia północna część północna Rynku. Rozpocznijmy od domu pana Olszanowskiego, który po jego śmierci wynajął na piękną drogerię pan Spychała. Firma nazywała się NIVEA. Tutaj pracowała pani Narożna, która potrafiła zachęcić klienta do zakupów perfum i innych kosmetyków. Budynek dalej to własność państwa Stępniewiczów. Swego czasu była to również restauracja - do śmierci pana Stępniewicza - a później ten obiekt został wydzierżawiany na biura dla różnych organizacji. W tym budynku wynajmowano też mieszkania. Następny dom należał do pana Latanowicza, którego córki prowadziły „Starą drogerię” (to już trzecia w Rynku). Właściciel, na którego mówiliśmy „dziadzia Latanowicz”, miał na zapleczu tego domu, od strony dzisiejszej ulicy Marii Kurzawskiej „Anki”, skład opału, w którym przesiadywał. Był bardzo przyjazny i życzliwy, lubił dzieci. Gdy jego wnuki przyjeżdżały z Katowic do Ostrzeszowa, to towarzyszyły mu w kantorze. Przypominam sobie, że najczęściej kupowało się dobre i tanie brykiety - prasowany torf z miętem węglowym. W narożnikowym budynku mieściła się restauracja i hotel pana Barczyka. Był to największy budynek w Rynku. Tam, gdzie obecnie jest pizzeria, lokal był wydzierżawiony na potrzeby cenionego adwokata, pana Jakubiczki. Przyjechał on do Ostrzeszowa przed II wojną światową. Było zatem dwóch prawników - pan Radke i pan Jakubiczka. Gdy pan Radke opuścił miasto i przeniósł się do Ostrowa Wielkopolskiego, pan Jakubiczka, który przyjechał z Kongresówki, przejął jego klientów.

Wróćmy do restauracji i hotelu. Były one na tamte czasy bardzo ekskluzywne. Pan Barczyk miał też stację benzynową - dystrybutor stał przed tym budynkiem na chodniku. Stacja benzynowa była to ręczna pompa. Pan Barczyk sprowadził się z Holandii; przyjechał jako emigrant, miał pieniądze, znał się na biznesie i potrafił zainwestować. Ponieważ posiadał też samochód, mógł przywozić gości i odwozić ich na dworzec kolejowy. Jeden z jego kierowców nazywał się Kazimierz Chełmniak. Postaram się o nim dokładniej opowiedzieć przy innej okazji. Jego ojciec był policjantem w Ostrzeszowie, a w czasie wojny policjantem granatowym w Kielcach.

Cały Rynek przed wojną był wybrukowany tzw. kocimi łbami. Dopiero w czasie wojny Niemcy, wykorzystując niewolniczą pracę więźniów, ułożyli płytki przed samym Ratuszem i parking z betonowych płyt. Działo się to przed przyjazdem ówczesnego gauleitera Greize, którego jako chłopak osobiście widziałem wchodzącego do Ratusza podczas wizytacji. Chodniki dookoła Rynku (i nie tylko) były wyłożone dużymi płytami granitowymi wielkości metr na 50- 60 cm. Rynek przeznaczano też na wiele uroczystości czy święta. Podczas Bożego Ciała szła wtedy procesja do czterech ołtarzy. Poza tym uroczystości państwowe, takie jak 3 Maja, 11 Listopada spotkania Bractwa Kurkowego czy Sokoła, zbiórki harcerzy i młodzieży szkolnej, jak również występy znakomitej orkiestry salezjanów - to wszystko koncentrowało się na Rynku.

OSTRZESZÓW W ARCHIWALIACH

4/2020

W. Kubiak - Stolarnia budowl i mebli, skład mebli i trumien - 24. 1. 1928 r. odpowiedział na ofertę złożoną przez Gimnazjum na wykonanie dwóch stołów, dwóch szaf oszklonych, dwóch sztuk regałów. Oferta ta wraz z kosztorysem została przyjęta przez Magistrat. Przedstawiam najważniejsze dokumenty na ten temat.

MAGISTRAT
Ostrzeszów, dnia 24. 1. 1928.
1. Kupiec p. Kubiakowi Kubaśowi Janowi
wzrost
2) p. Kubiakowi Janowi polecającemu Kubaśowi Janowi
p. Janowi Kubiakowi (początek Kubaśowi)
oferta od 24/1/28

Stół i szafa do Gimnazjum
Dwa stoły z mt. dęgi o 65 nat. długość
szafa oszklona z oszklowanymi
szafy 220 x 150 x 66 długość drzwi do
szafy na rolkach, cała szafa
szafa oszklona pionowa ma 150 nat. 115 20
regały 200 x 110 x 15. wzmocnione malowane 55 55 55
936.10

Ostrzeszów, dnia 11. 12. 1928
Kubiak
Magistrat
Kubiak
Magistrat
Kubiak

Ostrzeszów, dnia 24. 1. 1928
W. Kubiak
Stolarnia budowl i mebli, skład mebli i trumien
Kuchenne do Gimnazjum
Jeden stół 4 met. długość
65 nat. długość 4 met
do oszklowania na emali
Szafka oszklona 165.90
3 szafy 220 x 150 x 66
długość drzwi do szafy
na rolkach, cała szafa
szafa oszklona pionowa 150 nat. 115 20
2 regały 200 x 110 x 15
wzmocnione malowane 55 55 55
936.10
opłata sklep. 2.09
24. 1. 1928 938.19

MAGISTRAT
Ostrzeszów, dnia 24. 1. 1928
Kubiak
Magistrat
Kubiak
Magistrat
Kubiak

MAGISTRAT
Ostrzeszów, dnia 24. 1. 1928
Kubiak
Magistrat
Kubiak
Magistrat
Kubiak



Wszystko Gra?

Dzisiejszy świat przenosi nas niemal w każdej sferze naszego życia do rzeczywistości wirtualnej. Coraz

więcej czasu spędzamy przed ekranem smartfona/komputera, pielęgnując nasze „relacje” i kolekcjonując „znajomych”, grając lub bezsensownie scrollując facebooka w poszukiwaniu sensu życia...

Jednocześnie coraz mniej w nim spotkania z drugim człowiekiem i prawdy wyrażonej w autentycznych emocjach.

Wszystko to jest oczywiste. Pytanie, czy coś robimy, by w całym tym pędzącym w szaleńczym tempie technologicznym rozwoju (który przecież sam w sobie nie jest zły), nie zatracić tego co pozwala prawdziwie wzrastać każdemu z nas jak i całym społecznościom - czyli autentycznych relacji i kontaktu z drugim człowiekiem.

Kiedyś ludzie spotykali się co chwila i rozmawiali ze sobą. Dziś na ogół media społecznościowe dają nam złudne uczucie takich spotkań. Żeby wiedzieć, co dzieje się w lokalnej społeczności, już nie trzeba wychodzić na miasto po gazety albo na pogaduchy. Wystarczy odpalić fejsa i zaraz mamy najnowszą relację z najbliższej okolicy... często stream na żywo. Nawet zakupy, zamiast w okolicznym warzywniaku można zrobić bez interakcji z kimkolwiek, nie ruszając się sprzed komputera.

Tak zmienia się rzeczywistość wokół nas. Co to dla nas oznacza? Żeby załamać ręce i narzekać? A może wyciągnąć jakieś wnioski z obserwacji i działać pozytywnie?

Skoro wygasło wiele dawnych platform spotkań międzyludzkich, czas zadbać o nowe, odpowiadające potrzebom zmieniającego się świata.



Prawdziwym fenomenem dziś staje się rosnąca popularność gier planszowych, które przeżywają swój renesans. My również spróbaliśmy zorganizować spotkanie z planszówkami! Nazwaliśmy je „Wszystko Gra”. Dwa lata temu, gdy robiliśmy je pierwszy raz, nie spodziewaliśmy się, że będzie się odbywać cyklicznie, do dziś skupiając dziesiątki, a nawet i setki graczy.

Ale jak to w zasadzie się odbywa?

Spotkania zazwyczaj odbywają się w piątki lub soboty od godziny 18.00. Przychodźcie ze znajomymi lub sami, wypożyczycie od organizatora wybraną grę, która Was zainteresuje, podchodzicie do wybranego stolika z wolontariuszem, który w kilka minut tłumaczy Wam zasady gry (nie trzeba czytać przez godzinę instrukcji!) i ... gracie! :) Gdy nacieszycie się już jedną grą, możecie podejść po nową lub wymienić się z sąsiadami grającymi obok.:

Na prawie każdym spotkaniu „Wszystko Gra” rozgrywamy najczęściej kilka miniturniejów w wybrane gry i jak to bywa z turniejami - zawsze są nagrody. :) Zazwyczaj przy grze towarzyszy nam kawa, herbata i coś słodkiego lub słonego na ząb.

Kto przychodzi? Przychodzą dzieci z rodzicami, przychodzi młodzież, studenci i dorośli. Średnia wieku uczestników to około 20 lat.

W co gramy? Udało nam się nawiązać kontakty z czołowymi polskimi wydawnictwami gier planszowych np. „Rebel”, „G3”, „Lucrum Games”, „Granna”, „Games Factory”, „Foxgames”

Od nich wypożyczamy gry, dużo także udało nam się zakupić do naszej biblioteki. Uczymy się ich, gramy, poznając ciągle nowe gry, by móc w miarę możliwości wszystkie umieć wytłumaczyć.

Kto to ogarnia? Na naszym dziesiątym spotkaniu oficjalnie zostali mianowani wolontariusze - Asia, Kasia, Ola, Krzychu, Józek, Karol, Filip i Tomek. Ogarniają nowe gry, to, kto obecnie ma coś wypożyczonego (by wracały na spotkania), turnieje, no i oczywiście w razie potrzeby szybko tłumaczą gry podczas spotkań (walka z instrukcją potrafi skutecznie zniechęcać wielu graczy do planszówek). Wspólnie planujemy też kolejne przedsięwzięcia, jak na przykład festiwal gier planszowych. Oczywiście będzie się nazywał tak samo jak nasze spotkania, czyli „Wszystko Gra”.

Co najbardziej cieszy? Cieszy to, że atmosfera podczas naszych spotkań jest naprawdę świetna. Ludzie, którzy się wcześniej nie znali poznają się, podczas wspólnej gry. :) Jest rywalizacja, jest kupę śmiechu, jest coś słodkiego i czasem wjeżdża nawet pizza. Nie ukrywam, że sam poznałem wiele wspaniałych ludzi dzięki spotkaniom na grach i cenię sobie te znajomości.

Zapraszamy dzieci, młodzież, dorosłych na nasze spotkania - terminy można śledzić na stronie i fb Ostrzeszowskiego Centrum Kultury - świetna zabawa gwarantowana! :)

Opracowanie Michał Szmaj
Foto: G. Kosmala



KLUB FILMOWY

KINO POLSKIE

REPERTUAR

KUPNO LUB REZERWACJA
BILETÓW W KASIE KINA

ABSOLWENT
7 LUTEGO, GODZ. 19.00
PIĄTEK

SEANS 15 PLN

139 MIN | WOJENNY, BIOGRAFICZNY | 2016 R.

RÓŻA
20 LUTEGO, GODZ. 19.00
CZWARTEK

SEANS 15 PLN

120 MIN | BIOGRAFICZNY | 2018 R.

KOBIETA Z WYDM
6 MARCA, GODZ. 19.00
PIĄTEK

124 MIN | DRAMAT, POLITYCZNY | 1987 R.

INCEPCJA
19 MARCA, GODZ. 19.00
CZWARTEK

148 MIN | BIOGRAFICZNY, PRZYGODOWY | 2007 R.

PORTIER Z HOTELU ATLANTIC
2 KWIECIA, GODZ. 19.00

CZWARTEK

96 MIN | DRAMAT SPOŁECZNY | 1957 R.

OBI-OBA
16 KWIECIA, GODZ. 19.00
CZWARTEK

97 MIN | DRAMAT/SCI-FI | 2016 R.

DON'T WORRY I'M FINE
30 KWIECIA, GODZ. 19.00
CZWARTEK

SEANS 15 PLN

108 MIN | DRAMAT | 2016 R.

PARASITE
14 MAJA, GODZ. 19.00
CZWARTEK

133 MIN | DRAMAT | 1975 R.

